

Aleksander Ciepela

PRZEZ CHINY- KRAJ PRZYJAZNYCH LUDZI,
ŚMIECI I DYMU

OKŁADKA:
Anna Ciepiela-Napiórkowska

ILUSTRACJE:
Ze zbiorów własnych

ISBN 978-83-61140-89-4.

*Dziękuję wszystkim, bez których ta książka nigdy by nie powstała.
Szczególnie jestem wdzięczny całej mojej rodzinie, tym młodszym i tym
starszym. Pracowali razem ze mną przez trzy lata i dzięki ich pomocy
książka z bardzo surowej i nieokrzesej wersji powoli nabrała kształtu.
Mimo, że przedstawiam w niej moje osobiste przeżycia w Chinach,
uważam ją za dzieło grupowe.*

Autor

Spis treści

PIERWSZE WRAŻENIA, GLUTY NA ZIEMI I DYM W POWIETRZU	4
NAUKA CHIŃSKIEGO	6
POBYT W KUNMING	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
BIALI LUDZIE W CHINACH	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
JEDZENIE	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
PRACA W CHINACH.....	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
ROZRYWKA	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
PODRÓŻE PRZEZ CHINY I PROWINCJĘ YUNNAN	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
JAK MIESZKAJĄ CHIŃCZYCY	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
CHIŃSKA RODZINA I WPŁYW SYSTEMU PAŃSTWOWEGO NA ŻYCIE LUDZI	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
WIERZENIA, ZWYCZAJE I CHIŃSKI NOWY ROK .	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
ROZMOWY Z UCZNIAMI I SYSTEM EDUKACJI	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
KONIEC POBYTU W KUNMING ..	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.
HONG KONG	Błąd! Nie zdefiniowano zakładki.

WSTĘP. PIERWSZE WRAŻENIA, GLUTY NA ZIEMI I DYM W POWIETRZU

W drodze do Kunming moim pierwszym przystankiem był Pekin. Zaraz po przylocie zobaczyłem to, o czym bardzo dużo się mówi, ale ciężko sobie wyobrazić, gęstą chińską mgłę. Biała jak mleko mgła, okazała się ciężkim i śmierdzącym białym dymem. Z lotniska ledwo widziałem samoloty na płycie i nawet wewnątrz hali widoczność była fatalna.

Czułem się trochę dziwnie. Ludzie wyglądali inaczej niż sobie ich wcześniej wyobrażałem, nie potrafiłem dogadać się po chińsku, a angielski w wykonaniu pracowników lotniska nie przypominał mi niczego znajomego.

Zgłodniałem i poszedłem na zupę. Dostałem rosół z mięsem i makaronem, a do tego pałeczki. Jak się je zupę pałeczkami? Nie byłem w stanie zjeść całej, bo pracownicy restauracji obserwowały czujnie każdy mój ruch i czułbym się trochę nieswojo pijąc zupę z miski. Od zanieczyszczonego i suchego powietrza zacząłem kaszleć i równocześnie marzyć o tym, żeby znaleźć się już w Kunming. Od znajomych wiedziałem, że jak na warunki chińskie jest mało zanieczyszczonym miastem. Było jasno, zegary pokazywały dziesiątą rano, a ja cały czas odczuwałem polską strefę czasową i lekko zamykały mi się oczy.

Wokół mnie ludzie wszędzie pluli na ziemię wydając przy tym koszarne odgłosy. Dlaczego? Podobno robią to, żeby pozbyć się części zanieczyszczeń z organizmu i sadzy, osadzającej się podczas brania każdego oddechu w gardle i na strunach głosowych. Jest to jednak skrajnie obrzydliwe i prawdopodobnie przyczynia się do roznoszenia wielu zarazków. Mężczyzna siedzący obok mnie w restauracji, przy herbacie z rodziną, zrobił długie „hrhrhrahch” i całą zawartość nosa, zatok, gardła i ust wypluł zgrabnie pod stół, przy którym siedział, a potem jak gdyby nigdy nic napił się herbaty głośno przy tym siorbiąc. Kolejny Chińczyk przechodzący obok po jeszcze dłuższym „hrhrhrhrhrhr” wypluł wszystko, co mógł z głośnym pacnięciem na ziemię, pod stopy. Obsługa lotniska bardzo sprawnie i szybko poruszała się i zmywała placki wydzielin i śliny ze lśniących marmurów.

Już po odwiedzeniu tylko jednego lotniska w Chinach i pobycie na nim jedynie przez kilka godzin byłem przekonany, że jest to początek mojej wielkiej przygody. Każdy drobiazg wydawał się dla mnie prawdziwym szokiem. Byłem piekielnie zmęczony, więc lot z Pekinu do Kunming cały przespałem. Obudziła mnie stewardessa prosząc o wyprostowanie fotela i zapięcie pasów. Wtedy zaczęło nami rzucać. Nie wiem, dlaczego samolot

przez blisko pół godziny leciał na granicy chmur, a ja nigdy w życiu nie przeżywałem takich turbulencji. Pasażerka obok mnie miała najwyraźniej chorobę lokomocyjną, a ja modliłem się, żeby odgłosy i zapachy, jakie z siebie wydawała, nie wywołały u mnie i u innych pasażerów reakcji łańcuchowej. Na szczęście bardzo zgrabnie i dyskretnie korzystała z torebki nie rozlewając nawet kropelki.

Po dosyć nieprzyjemnym locie wylądowałem w końcu na bardzo pięknym i nowoczesnym lotnisku w Kunming, położonym na 1800 m n.p.m. Pierwsze wrażenie to silny i trochę duszący zapach. Trudno powiedzieć, jakie było jego źródło, ale był wszechobecny. Coś pomiędzy smażoną chińszczyzną, a długo niepranym, zgniłym, mokrym ręcznikiem.

Miałem niesamowite szczęście. Zamieszkałem u Shirin, pół Niemki, pół Chinki do czasu znalezienia własnego mieszkania. Shirin mimo tego, że pochodziła z Kunming, gdzie urodził się jej tata, była bardziej niemiecka niż niejeden Niemiec. Swoje wczesne dzieciństwo spędziła w Chinach i miała małą pamiątkę z tego okresu w postaci dużej blizny na czubku głowy. Nikt w tamtych czasach nie myślał o tym, żeby dzieciom zakładać kaski na głowy podczas wożenia ich na motorze.

Shirin od pierwszej chwili po moim przyjeździe zaczęła oprowadzać mnie po mieście. W pierwszej kolejności poszliśmy na obiad do bardzo eleganckiej restauracji, w drogiej części Kunming. Zapłaciliśmy odpowiednik 15 zł za osobę. Spotkaliśmy też znajomych Shirin na małym piwie. O przygodach każdego z nich można by napisać książkę. Jeden przejechał ze Szwajcarii motorem, a drugi z Belgii koleją. Obaj wybierali się właśnie na spływ kajakowy do Laosu, a zatrzymali się na dłużej w Kunming, bo im się tu spodobało. Wieczorem poszliśmy jeszcze na nocny rynek zobaczyć setki ludzi gotujących coś na dziwacznych grillach w beczkach. Zjadłem kawałek *Chou doufu*, czyli śmierdzącego tofu (tak to się nazywa). Było faktycznie śmierdzące i niesmaczne.

Samo Kunming wyglądało bardzo spokojnie w porównaniu do moich wyobrażeń o chińskim mieście. Wszystko działało się tu bardzo powoli, świeciło słońce i można było zobaczyć rzecz w Chinach podobno rzadką, czyli niebieskie niebo. Taksówki to były stare VW, a połowa ludzi zamiast samochodami, jeździła na elektrycznych, bezgłośnych skuterach. Piesi nie przejmowali się obecnością pasów czy ich brakiem i nawet nie oglądając się wchodzili na jezdnię. Żadna z osób siedzących na skuterach nie miała na głowie kasku, ale cały ruch odbywał się tak leniwie, że nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego.

Czułem się tam bardzo bezpiecznie. Miałem najlepszą przewodniczkę na świecie, a Chińczycy mimo tego, że bez przerwy się na mnie gapili, nie zaczepiali mnie i byli bardzo uprzejmi.

NAUKA CHIŃSKIEGO

Wiele osób pytało mnie jeszcze w Polsce:

- dlaczego chcesz uczyć się chińskiego? Przecież każdy liczący się Chińczyk na pewno zna angielski. To nieprawda! Tutaj nikt nie zna angielskiego. Nieważne czy stary czy młody, bogaty czy biedny, jedyne co po angielsku potrafią powiedzieć to „haeeeloo” albo „photo” - kiedy chcą sobie zrobić zdjęcie z białym. Komunikacja w Chinach po angielsku jest skomplikowana i często niemożliwa.

Język chiński jest wyjątkowo trudny do nauczenia się dla Europejczyka z kilku przyczyn. Po pierwsze pismo jest bardzo trudne do opanowania. Każde słowo ma swój odpowiednik w postaci małego obrazka przedstawiającego dane słowo. Pismo powstało kilka tysięcy lat temu w postaci miniaturowych obrazków i było konsekwentnie upraszczane tak, aby można było je w dosyć szybki sposób zapisać. Aby zrozumieć pismo trzeba zrozumieć chiński sposób myślenia, który wywodzi się z bardzo starej i bogatej kultury. Dla przykładu, jeżeli byśmy poprosili dziecko w Europie, żeby narysowało dom, prawdopodobnie nakreśliłoby prosty kwadrat z czymś przypominającym opadający dach. Chińczyk myśli inaczej. Kiedy któryś z praprzodków współczesnych Chińczyków został zapytany o narysowanie domu zaczął zastanawiać się nie jak wygląda dom, ale co to znaczy mieć dom. Dom oznacza dobrobyt i bogactwo. Ludzie bogaci mają dużo jedzenia, więc mają też świnię. W ten sposób powstał znak określający dom, czyli rysunek przedstawiający świnię pod dachem. Łatwo jest narysować i wyobrazić sobie słowa przedstawiające coś konkretnego i materialnego, ale co w takim razie dzieje się z wyrazami bardziej abstrakcyjnymi? Jak na przykład zapisać słowo „dobro”? Dla Chińczyków, to pytanie nie jest wcale takie trudne. Znak przedstawiający dobro składa się z dwóch znaków, dużego przedstawiającego kobietę i małego przedstawiającego dziecko. Dobro to po prostu matka z dzieckiem. Opanowanie pisma dla Chińczyka to lata praktyki. Dla Europejczyka to bardzo żmudna i trudna praca polegająca na kopiowaniu znaków setki razy i próbie zrozumienia chińskiego sposobu pojmowania świata.

Po drugie wymowa. Nawet nie zdajemy sobie sprawy z tego jak proste są języki europejskie. Każdy może bez problemu

powtórzyć praktycznie każde słowo i nawet wypowiedzenie czegoś z błędnym akcentem nie wpływa na jego znaczenie. W chińskim (mandaryńskim) jest inaczej. Każda sylaba w każdym słowie może zostać wypowiedziana na cztery różne sposoby. W rezultacie słowo, które Europejczykowi może wydawać się tym samym, co coś podobnie brzmiącego, ale wypowiedziane w innym tonie, w rzeczywistości może mieć znaczenie zupełnie przeciwne. Większość studentów na samym początku nauki nie rozumie lub nie słyszy różnic pomiędzy słowami. Dla przykładu

słowo „mai” z tonem wznoszącym czyli kupić, może być wypowiedziane z tonem opadającym i wtedy będzie oznaczało sprzedać. Pewnego razu, gdy siedziałem późnym wieczorem ze znajomymi Chińczykami i czułem się już bardzo zmęczony, oznajmiłem głośno wszystkim, że idę spać. Jedna z osób odwróciła się do mnie i ze szczerym zdziwieniem malującym się na twarzy zapytała mnie, zupełnie na poważnie, czy na pewno chcę o takiej później porze jeść pierogi. Łatwo sobie wyobrazić skalę nieporozumień, jakie mogą wynikać ze złego wypowiedzania tonów.

Po trzecie całkowicie odmienna kultura. Polak, który wyjeżdża do Anglii, jeżeli ma chęć nauczenia się angielskiego i posiada już jakiegokolwiek podstawy, bez problemu asymiluje się, buduje znajomości, czyta gazety, ogląda filmy, seriale i rozmawia z ludźmi. W Chinach jest inaczej. Kultura chińska jest tak różna od europejskiej, że większość osób uczących się chińskiego w Chinach nie wychodzi ani na chwilę poza grupę białych ludzi, bo nawiązanie normalnych stosunków z Chińczykiem jest bardzo trudne. Chińczycy bardzo rzadko wyrażają własne uczucia i wszystkiego trzeba się domyślać. Generalnie nie piją alkoholu lub jeżeli piją to aż tyle, żeby nie móc już nic powiedzieć i zasnąć pod stołem. Rzadko zmieniają otoczenie i nawet w Chinach są zamknięci w swoich maleńkich społecznościach przyjaciół, gdzie nikt z zewnątrz nie ma wstępu. W dodatku mają, z punktu widzenia osoby pochodzącej z zachodu, totalny brak poczucia humoru. Te wszystkie elementy

sprawiają, że pomimo chęci otwarcia się na świat i nawiązywania kontaktów z białymi, Chińczycy są dla osób wywodzących się z zachodniej kultury bardzo męczący. Biały człowiek w Chinach nie ma też szans na czerpanie jakiegokolwiek przyjemności z oglądania telewizji lub słuchania radia. Nasze poczucie estetyki jest bardzo dalekie od poczucia estetyki i poczucia humoru przeciętnego Chińczyka. Nie chcę tutaj powiedzieć, że wszystko co chińskie jest złe, ale chińska kultura popularna (POP) jest dla ludzi wychowanych w innej kulturze po prostu nie do zaakceptowania.

Te trzy elementy, czyli pisownia, wymowa i odmienna kultura sprawiają, że dla Europejczyka nauczenie się chińskiego jest szczególnie trudne i wymaga bardzo dużo ciężkiej pracy. Co ciekawe, nauka chińskiego nie wymaga nauki gramatyki. Istnieją różne dziwne zasady, które trzeba stosować, na przykład słowa klasyfikatory, które klasyfikują każdy rzeczownik do jakiejś grupy (roślin z łądzą, płaskich przedmiotów i innych), lub szyk zdania, ale nie ma gramatyki w naszym europejskim pojęciu.

Zaraz po przyjeździe do Chin, zjedzeniu kilku pierwszych chińskich posiłków i nawdychaniu się oparów ze schnących na ulicach zawartości nosa i ust całej populacji miasta, bardzo mocno się rozchorowałem. Obudziłem się po tygodniu spędzonym w łóżku i po kolejnych 12 godzinach snu bez przerwy. Wyraźnie wykończyła mnie choroba. Gorączka i ból brzucha mi przeszły, ale w dalszym ciągu bolało mnie gardło i czułem się bardzo słaby. Zajęcia zaczynały się codziennie o 8.30 i trwały przez cztery godziny, a jeszcze nie wiedziałem, do której grupy miałem trafić i cały czas nie wpłaciłem

czesnego. Miałem nadzieję znaleźć mieszkanie z chińskimi studentami, żebym mógł ćwiczyć konwersacje nie tylko na zajęciach.

Przed egzaminem wstępnym na uczelni i wpłaceniem czesnego musiałem wymienić pieniądze. Do banku dojechaliśmy z Shirin taksówką. Niestety trafiliśmy na kolejkę, więc grzecznie czekaliśmy, a w międzyczasie pojawiła się przy nas cała grupa ludzi gotowa nam pomóc w wypełnianiu dokumentów. Kiedy doszliśmy do okienka i wręczyliśmy już wypełnione papiery i pieniądze, pani policzyła je i okazało się, że pomyliliśmy się o 10 dolarów w obliczeniach. Pani przekreśliła nasz formularz i kazała wypełnić kolejny. Kiedy skończyliśmy żmudne wypełnianie dokumentów po raz drugi i wręczyliśmy je w kasie, zauważyłem, że kasjerce zmarszczyły się brwi i zaczęła nerwowo liczyć pieniądze. Okazało się, że to nie my źle wypełniliśmy formularz, ale ona się pomyliła w obliczeniach i w rezultacie musieliśmy wypełnić dokumenty po raz trzeci. Operacja ta powtórzyła się jeszcze trzy razy i w sumie z banku wyszedłem z kieszenią pełną pieniędzy i sześcioma nikomu niepotrzebnymi formularzami.

Przez bankową biurokrację udało nam się dotrzeć na uczelnię kilkanaście minut przed jej zamknięciem. Zapłaciłem, zarejestrowałem się i przeszedłem test wstępny polegający na czytaniu chińskich liter z podstawowego podręcznika. Z racji tego, że już potrafiłem rozpoznać trzy słowa, których nauczyłem się jeszcze w Polsce, zostałem przydzielony do grupy odrobinę wyższej niż początkująca.

Pierwsze zajęcia odbyłem już następnego dnia po rejestracji na uczelni. Byłem przerażony. Każdego dnia miałem dyktando i trzy rodzaje lekcji. Zajęcia z budowy języka rozumiałem na początku w 50 % więc było nieźle, zajęcia z mówienia ogarniałem całkiem w porządku i chociaż byłem chyba najgorszy w grupie, to rozumiałem około 60% tego, co mówiła nauczycielka. Zajęcia ze słuchania i rozpoznawania tonów i znaków, to była za to dla mnie straszna męczarnia. Rozumiałem 10%, ale pani profesor ciągle powtarzała, że jestem za dobry, żeby przejść do niższej grupy.

Mimo trudności w nauce, mój poziom bardzo szybko się podnosił i już po kilku tygodniach zaczynałem rozumieć coraz więcej, a nasza grupa cały czas się powiększała. Uczyliśmy się często bardzo „przydatnych zwrotów”. Między innymi jak powiedzieć „pieczona kaczka” albo co to jest klasyfikator definiujący kwiat z łądygą. Każdy dzień to też mordercze ilości znaczków, z rysowaniem których miałem ogromne trudności. Nie mogłem cały czas wytrzymać tempa. Przepisywanie 20 znaczków w ciągu 10 minut to nie była moja mocna strona i kiedy kończyliśmy omawiać pierwsze i zaczynaliśmy kolejne, to ja jeszcze byłem w połowie przepisywania poprzednich. W mojej grupie był jeden Francuz pochodzenia arabsko-irlandzkiego, jedna lekko zwariowana Polka, robiąca ten sam kurs drugi albo trzeci raz, jedna 65-letnia Francuzka ucząca się znaczków od 10 lat, a poza tym same Koreanki i Tajowie. Nie rozumiem jak to działa, ale ci ludzie nie potrafili powiedzieć słowa, a znaczki wydawały się nie być dla nich żadnym problemem. Pani profesor twierdziła, że muszą po prostu dużo ćwiczyć. Skupienie się nad

chińskimi znaczkami przez cztery godziny bez przerwy było dla mnie bardziej męczące niż praca fizyczna.

Któregoś dnia napisała do mnie Yan. Była to dziewczyna, która znalazła mnie na Wechacie, chińskiej wersji Facebooka, ale działającej tylko w telefonach. Włączyłem funkcję „look around” co oznacza, że aplikacja pokazywała mi, kto w pobliżu mnie włączył podobną funkcję. Natychmiast po tym zaczęło do mnie pisać kilka dziewczyn i homoseksualistów. Yan wydawała mi się najbardziej interesującą osobą. Nieustannie pytała „co robisz?”. Będąc na zajęciach nie odpowiedziałem jej, bo nauczycielka zadawała mi bardzo trudne pytania za każdym razem jak sięgałem po telefon. Dostawałem od Yan całe mnóstwo smsów, „co robisz, jestem zła”. To jest normalne w Chinach, zarówno dla mężczyzn jak i dla kobiet. Czekanie na wiadomość przez kilkanaście minut, to dla nich cała wieczność, a komunikacja wirtualna przez telefon jest często ważniejsza niż bezpośrednia rozmowa.

Kilka razy w tygodniu robiłem sobie dosłowny maraton naukowy. Cztery godziny zajęć na uczelni i dwie godziny zajęć z Amy. Poznałem ją na forum dla obcokrajowców, gdzie można się ogłosić, jeżeli chce się znaleźć partnera do wymiany językowej. Polega to na tym, że dwie osoby się spotykają i jedna zostaje nauczycielem i uczy wybranego języka, a druga osoba jest uczniem. Po określonym czasie następuje zamiana i pierwsza osoba się uczy, a druga z ucznia staje się nauczycielem drugiego wybranego języka. Amy była Chinką średniego wzrostu z nietypowymi długimi i kręconymi ciemnymi włosami, jasną cerą i wiecznie zdziwionym lekko przymrużonym spojrzeniem. Mimo tego, że miała bardzo mocną wadę wzroku, nie nosiła okularów, bo uważała, że źle się w nich prezentuje. Amy tłumaczyła mi chiński po angielsku. Mimo że potrzebowała wtedy pieniędzy, nic ode mnie nie chciała. Twierdziła, że ucząc mnie, sama dużo się uczy. Ja też byłem bardzo zadowolony, bo od Amy mogłem się wiele dowiedzieć i dzięki jej tłumaczeniu nadążałem za tempem całej klasy na uczelni. Amy zatrudniła się w hinduskiej knajpie. Zarabiała siedem RMB (chińskich juanów) za godzinę czyli odpowiednik 3,5 zł. Kiedy to usłyszałem, trochę się zdziwiłem, ale Amy dodała, że ma też posiłek za darmo (w restauracji kosztuje około trzech złotych).

Chiński jest piekielnie trudny. W chwilach zwątpienia zastanawiałem się czy nauczenie się chińskich znaczków pomoże mi w komunikacji z ludźmi, na czym mi najbardziej zależało. Wykańczały mnie te „krzaczkki”. Chiński byłby jednym z łatwiejszych języków, gdyby nie te hieroglify. Równocześnie czasem mówiłem coś, a ludzie zupełnie nie mogli mnie zrozumieć ze względu na dobór złej tonacji słów i poszczególnych sylab.